

Bluźniercy, którzy uszli karze

O ile za uprawianie czarów nie pociągano do sądów szlachty, a głównymi sprawcami mordów rytualnych nie czyniono chrześcijan, to za bluźnierstwa, zakłócanie nabożeństw czy procesji tracono nie tylko plebejuszów. Działo się tak dlatego, iż poprzez surowe kary chciano zarówno samo państwo (Rzeczpospolitą), jak i ludzi zabezpieczyć przed gniewem Stwórcy, który za obrazę swego majestatu zwykł był, jak powszechnie wierzone, zsyłać klęski żywiołowe (grad, trzęsienie ziemi, zarazy etc.) czy najazdy wojsk nieprzyjacielskich. W ustawodawstwie świeckim, tak powszechnym, jak partykularnym, pojmowanie bluźnierstwa było, aż do XVIII wieku włącznie, oparte na prawie kanonicznym. Za bluźnierstwo uważano znieważenie słowem lub czynem świętych oraz Boga, a także przedmiotów kultu. Profanując sakrament, w którym po przeistoczeniu miały być ciało i krew Pańska, dopuszczano się jednego z najcięższych przestępstw, gdyż targnięcia się na samego Boga. Wymierzano za to kary cielesne, z których zasadniczą, niejako symboliczną rolę odgrywało obcięcie bluźnierczego języka. Przypomnijmy, że wywleczono go przed wymierzeniem kary kapitalnej Iwanowi Tyszkowicowi i Franco de Franco, straconym w 1611 r.

Prawodawstwo polskie nie odbiegało pod tym względem od praktyki stosowanej w innych krajach; ówczesne kodeksy przewidywały za bluźnierstwo karę śmierci, wymierzaną w szczególnie ciężkich przypadkach przez spalenie na stosie. Wystarczy tu przypomnieć *Kodeks karny bawarski* z 1751 r. czy tzw. *Constitutio criminalis Theresiana*. W drugiej połowie XVIII w. prądy oświeceniowe sprawiły, iż bluźnierstwo przestano tak surowo traktować. W r. 1775 pewna kobieta, która pozornie przyjęła hostię, naprawdę jednak wykraǳła, aby sprzedać ją Żydom, została w Warszawie skazana tylko na sporą porcję kijów, wymierzanych dwa razy tygodniowo. Kodeks karny cesarza Józef II z r. 1787 traktował bowiem bluźniercę jako „człowieka pozbawionego rozumu, którego nie należało karać, ale leczyć w zakładzie dla obłąkanych”.

W r. 1588 spalono na rynku krakowskim szlachcica, niejakiego Zakrzewskiego, za to, iż zranił szablą księdza odprawiającego mszę w tamtejszym kościele oo. karmelitów, zniszczył hostie i kielich oraz ciężko okaleczył ministranta. W r. 1633 inny szlachcic, nieznan z imienia Bogdaszewski, został ścięty w Krakowie za porąbanie obrazu Naj-

świętszej Marii Panny. Następne stulecie przyniosło spalenie na stosie łowczego łomżyńskiego Krzysztofa Przyborowskiego (1700), który według jednych przekazów źródłowych został stracony za ateizm, według innych za przyjęcie judaizmu. W r. 1713 spalono na rynku lubelskim saskiego kapitana Kahlera, oskarżonego o bluźnierstwo. W 1746 r. podobny los spotkał w Poznaniu niejakiego Kocaya, który nie chciał mówić: „Niech będzie pochwalony”. Na tym tle może trochę dziwić, iż niektórym spośród szlachty uszło na sucho znieważenie Przenajświętszego Sakramentu, i to dokonane publicznie.

Początek dał Erazm Otwinowski (ok. 1528–1614). Przejęty oburzeniem na „bałwochwalczy” kult papieżników arianin, w czasie procesji Bożego Ciała w Lublinie (czerwiec 1564 r.) ze skierowanym do księdza okrzykiem: „Bóg jest w niebie, a więc nie ma go w chlebie, nie ma w twej puszcze”, wyrwał monstrancję i rzuciwszy na ziemię, podeptał. Następnie, uciekając przed zemstą tłumu, schronił się do domu swego współwyznawcy, Piotra Suchodolskiego. Dalszy ciąg tej historii jest niezmiernie dla stosunków polskich charakterystyczny. Suchodolski odmówił podstarościemu lubelskiemu (notabene swemu stryjowi) wydania winowajcy, choć podstarości tego się domagał. Powstało ogromne oburzenie w całym kraju, a Otwinowskiego wezwano do stawieństwa na sądy nadworne. W jego obronie wystąpił wówczas Mikołaj Rej, który podobno (jeśli wierzyć współwyznawcy Otwinowskiego, Stanisławowi Lubienieckiemu) miał powiedzieć, iż skrzywdził on Boga i człowieka (księdza). Stwórca sam pomści się za wyrządzoną sobie zniewagę, ten drugi zaś zostanie wynagrodzony, jeśli za stłuczone szkło otrzyma „grosz, za zniszczoną hostię szeląg, aby sobie kupił nowe szkło i tę odrobinę mąki”. Ostatecznie Otwinowskiemu cała sprawa uszła na sucho. Za rządów Batorego powtórzył ten sam postępek inny szlachcic, kalwin, Marcin Kreza; w 1580 r. podeptał on publicznie Eucharystię, a następnie rzucił ją psom na pożarcie. Król zagroził mu wówczas, iż jeśli wykroczenie się ponowi, to osobiście wystąpi z interwencją. Wiele było wolno szlachcicowi w ówczesnej Polsce, daleko więcej niż dziś każdemu z obywateli współczesnego państwa, w którym obraza uczuć religijnych jest karana więzieniem. Ale tylko szlachcicowi.

Otwinowski był przypuszczalnie współautorem (czy nawet autorem) antykatolickiego pamfletu *Bogowie fałszywi*, w którym m.in. atakował kult hostii. Wyśmiewał się z wiary w przeistoczenie opłatka w ciało i krew Chrystusa, wspominając przy okazji o procesach wytaczanych za jego znieważenie. Kończyły się one nieraz wyrokami śmierci. Dalej Otwinowski w swoim pamflecie dawał wyraz niewierze, aby można było z hostii wytoczyć krew:

(Jako się kiedyś było w Sochaczewie stało,
Gdzie o to kilka żydów gardło było dało).
Szynkarki, czarownice też go używają
Do swych guseł, a czasem go i krowom dawają
A indziej go niczemni ludzi pokruszyli,
Wždy ich o to niebieskie gromy nie zabiły.

Otwinowski czyni tu aluzję do sprawy Doroty Łazęckiej z Sochaczewa, która w roku 1556 ukradła rzekomo hostię, aby ją przekazać swoim żydowskim chlebowcom. Wraz z nią spalono za to w Płocku trzech innych Żydów. Choć z analogicznymi oskarżeniami występowano już w średniowieczu, to jednak dopiero reformacja postawiła problem eucharystii w centrum sporów religijnych, a co za tym idzie i uwagi publicznej. Zwolennicy nauki o przeistoczeniu utrzymywali, iż z kradzionych w kościołach hostii idzie krew w momencie, kiedy Żydzi nakłuwają je szpilkami, powtarzając w ten sposób swą zbrodnię bogobójstwa sprzed wieków. Cud ten potwierdzał naukę Kościoła katolickiego o realnej obecności Chrystusa w Eucharystii.

Wracając do osoby Otwinowskiego, warto dodać, iż napisał on także wymierzony w kult Eucharystii wierszowany pamflet *Rozmowa piekarza z malarzem o swoich bogach*, który później zaginął. To, że, jak pisze Henryk Barycz, „skończyło się na sentencji o konieczności wzajemnego poszanowania ceremonii i przekonań religijnych”, należy przypisać nie tylko czyjejsz moźnej protekcji, ale i wpływowi reformacji, która stała wówczas w Rzeczypospolitej u szczytu potęgi.

Jakiegokolwiek karze uszedł również Stefan Łowejko, który niemalże publicznie afiszował się ze swoim ateizmem. Wśród rodów osiadłych w powiecie mozyrskim, stanowiącym obecnie część Białorusi, do najbardziej wpływowych i znanych należeli Łowejkowie, posiadacze licznych urzędów oraz wielu majątności. Nie były to oczywiście dygnitarstwa ani też klucze dóbr, ale mimo wszystko pozwalają one na zaliczenie Łowejków do szlachty, nazywanej później „karmazynową”.

Stefan Łowejko był właścicielem pięciu majątków, w związku z czym na popisie wojska litewskiego w 1567 r. stał się z dwoma „drabami” i trzema końmi. Musiał on jednak nieźle dopieć swoim sąsiadom, a zwłaszcza jednemu z nich, Stefanowi Łozce, skoro ten – widać doprowadzony do ostateczności – zaatakował Łowejkę z pozycji, jakbyśmy dziś powiedzieli, ideologicznych. Oskarżył go mianowicie o to, iż Łowejko nie wierzy w Trójcę Świętą i bóstwo Chrystusa, neguje nieśmiertelność duszy oraz istnienie życia pozagrobowego, stawia wreszcie znak równości między człowiekiem a zwierzęciem. Jeśli wierzyć pozwowi, który w 1591 r. wpłynął w tej sprawie do Trybunału Litewskiego w Wilnie, Łowejko miał również utrzymywać, że „świat nie jest stworzony, ale tak od wieków stoi”, cokolwiek zaś na nim istnieje, „powstało samo przez się”. Raj i piekło występują tylko na ziemi, zależnie od tego, jak się komu powodzi.

Oskarżenia powyższe mogły oczywiście wynikać z rywalizacji osobistej i zatargów majątkowych między Łozką a całą rodziną Łowejków. W latach 1592-1594 procesował się on bowiem zajadłe również z Janem Łowejką, marszałkiem mozyrskim (zapewne bratem Stefana), oraz z jego potomkami. Łozka starał się też pozbawić Łowejków ich urzędów, twierdząc, iż Stefan nie ma – jako bezbożnik – odpowiednich kwalifikacji do pełnienia obowiązków sędziego, Jan Łowejko zaś nie powinien – ze względu na nieznaną

bliżej uchybienia – być marszałkiem. O ile jednak geneza oskarżeń jest jasna, to trudno przypuścić, aby zarzuty wobec Stefana Łowejki były wyssane z palca. Echa tej sprawy trafiły zresztą i do dzieł polemistów katolickich. W głośnym antyariańskim paszkwilu *Recepta na Plastr Czechowica, ministra nowokrzęńskiego* (Kraków 1597) jezuita Marcin Łaszcz pisał, iż Łowejko został pozwany do trybunału wileńskiego, ponieważ nie wierzył, „aby dusze miały być żywe, ale takie właśnie jako bydłce i zmartwychwstania żadnego nie wierzył, ani dnia sądnego nie wierzył”. Stanisław Reszka zaś utrzymywał, iż sędzia mozyrski stał się z żyda chrześcijaninem, z chrześcijanina zwinglianinem (kalwinistą), a ostatecznie ateistą.

Wywód Reszki możemy śmiało zakwalifikować jako mętny i bałamutny. Po pierwsze, trudno uwierzyć, aby urzędnik ziemski i właściciel dóbr na Białorusi mógł być wyznania mojżeszowego; bardziej możliwe wydaje się przypuszczenie, iż Reszka pomylił kolejność. Należący do kultury ruskiej Łowejko był zapewne pierwotnie wyznawcą prawosławia, następnie zaś stał się zwolennikiem tak zwanego judaizantyzmu. Był to ten nurt radykalnej reformacji, który uznawał *Stary Testament* za podstawę wiary i nakazywał wiernym poddanie się obrzezaniu. Po drugie, Reszka pisząc, iż sędzia mozyrski stał się następnie zwinglianinem, miał oczywiście na myśli zwolenników Kalwina raczej niż Zwingliego. Jedni i drudzy byli zresztą takimi samymi chrześcijanami, jak i katolicy (chyba że przez „chrześcijan” rozumiał jedynie zwolenników Rzymu).

W każdym razie zarzuty zawarte zarówno w pozwie Łozki, jak i w dziełach Łaszcz oraz Reszki były bardzo poważne. W „państwie bez stosów” można było swobodnie wyznawać luteranizm i kalwinizm, anabaptyzm i arianizm, konfesję braci czeskich czy menonitów (żeby tylko wymienić najbardziej rozpowszechnione sekty i Kościoły), ale wobec ateistów obowiązywała odmienna już miara. Na szczęście jednak dla siebie Stefan Łowejko, który miał zapewne rękę sprawniejszą do szabli niż do pióra, a i w sądzie wyręczał się tak zwanym podpisem, nie przelewał swoich poglądów na papier, jak to uczynił później nieszczęsny Kazimierz Łyszczczyński. Znamienne jest, że przeciwnicy Łowejki nic nie piszą o rozpowszechnianiu ich drukiem. Bez wątpienia Łozka musiał liczyć przede wszystkim na świadków, z którymi sędzia mozyrski rozmawiał o życiu pozagrobowym i duszy. Czy to jednak świadkowie zawiedli, czy też Łowejko przedstawił jeszcze lepszych rzeczników obrony, w każdym razie do sprawy o wolnomyślicielstwo religijne w Trybunale Litewskim bądź to nie doszło, bądź też zakończyła się ona wyrokiem uniewinniającym. Również bowiem i w latach następnych Stefan Łowejko występuje w aktach jako sędzia ziemski mozyrski, w 1595 zaś roku ponownie procesuje się ze swym śmiertelnym wrogiem Łozką o rozgraniczenie włości Borysowicze od wsi Zahal i Klewy. Gdyby został w jakiś sposób ukarany, polemici katolicy nie omieszkiliby tego z triumfem odnotować jako wygodnego precedensu na przyszłość. Tak zaś Reszka po-przestaje tylko na uwadze, iż po śmierci sędziego mozyrskiego (zmarł przypuszczalnie

w 1596 r.) jego grobu nie można było rzekomo przez wiele dni zasypać, ponieważ ziemia nie chciała zwłok bezbożnika przyjąć.

Zdaniem polskich badaczy, w przypisywanych Łowejce twierdzeniach można się dopatrzeć pewnych zbieżności z racjonalistycznym nurtem ideologii ariańskiej, historycy białoruscy natomiast widzą w nim zdecydowanego ateistę, który wyznawał poglądy materialistyczne i był typowym przedstawicielem „białoruskiego epikureizmu”.

Nie należy też zapominać, iż o jego poglądach dowiadujemy się jedynie ze źródła tak stronniczego, jakim jest akt oskarżenia, bo taką wówczas rolę pozew spełniał. Wiemy zresztą, iż w ogniu walk polemicznych, które rozgorzały w dobie reformacji, przeciwników Kościoła panującego dość często oskarżano o ateizm. Z reguły niemal zarzut ten stawiano wyznawcom radykalnych ugrupowań religijnych, takich jak antytrynitarze, anabaptyści czy judaizanci. Warto zaś przypomnieć, że aż po wiek XVIII wszyscy niemal publicyści, teologowie i politycy byli zgodni w tym, że ateści – jako ludzie nieprzestrzegający żadnych umów i praw oraz pozbawieni rzekomo wszelkich zasad moralnych – nie zasługują na tolerancję. Pogląd ten wyznawali nawet bracia polscy oraz zachodnioeuropejscy antytrynitarze, z najwybitniejszym szermierzem wolności sumienia, Sebastianem Castellionem na czele. Jeszcze zresztą Jan Jakub Rousseau pisał, że ateistów należałoby karać śmiercią.

Trudno zresztą wykluczyć i taką możliwość, iż autor pozwu przeciwko sędziemu mozyrskiemu znał jego poglądy częściowo tylko ze słyszenia, w znacznej zaś mierze odtworzył je na podstawie gęsto ówczesnie krążącej literatury polemicznej, w której szczegółowo wyjaśniano, na czym polega ów ateizm. A może po prostu przy pisaniu aktu oskarżenia dopomógł Łojce któryś z teologów, widzący w tym znakomitą sposobność do wytoczenia procesu pokazowego jednemu z „heretyków”? Tak czy inaczej prawdziwe poglądy Stefana Łowejki pozostaną dla nas zapewne na zawsze tajemnicą, chyba że któremuś z badaczy dopisze szczęście i natrafi w jednej z bibliotek na wyznanie wiary pisane jego ręką.

Znacznie poważniejsze kłopoty miał w pół wieku później posiadacz ariańskiego Rakowa Jakub Sienieński. Do zadrażnienia stosunków udało się kontrreformacji użyć plebana Szumska, Marcina Szelańskiego, który prowadził z Sienieńskim długoletnie spory o dziesięć z wiosek: Pagowca, Zalesia, Lipin, Wrębowa i Podgrodzia. W latach poprzedzających sprawę rakowską wytoczył on również serię procesów okolicznej szlachy ariańskiej. Także i sam właściciel Szumska, Jerzy Rokicki, współdziałał w tej akcji. W monografii J. Wiśniewskiego o dekanacie opatowskim jest podana treść napisu na jego nagrobku (w kościele w Szumsku), z której jasno wynika, że antagonistą Sienieńskiego był księdzem.

W świetle tego faktu, przeoczonego przez dotychczasową historiografię, wydaje się zupełnie prawdopodobne, że Rokicki – bez wątpienia gorliwy katolik, podporządkowany

kościółowi także i hierarchicznie – mógł zostać przez kurie wykorzystany jako pionek w rozgrywce z ariańskim właścicielem Rakowa. Staje się teraz jasne, dlaczego toczył on z Sienieńskim spór o granicę dzielącą jego posiadłość od terenów rakowskich. Co więcej, wystawienie przez Rokickiego na spornej ziemi krzyża z rozpiętym nań Chrystusem wygląda na coś więcej niż na często wówczas praktykowany sposób szachowania przeciwników w sporach granicznych. Krucyfiks stanowił bowiem przedmiot, który przeciwnikowi trudno było usunąć bez narażenia się na zarzut świętokradztwa.

Każde naruszenie przydrożnego krzyża stawało się bowiem, z czego zapewne dobrze sobie zdawał sprawę Rokicki, rozmyślnym świętokradztwem. Bracia polscy, choć nie uchylali się od oddawania czci Chrystusowi, nie uważali go jednak za Boga, a niektórzy z nich kult dla wszelkich wyobrażeń Męki Pańskiej nazywali bałwochwalstwem. Sporo źródeł z drugiej połowy XVI w. i początków następnego stulecia stwierdza, iż arianie ścinali figury przydrożne i palili wystawione na polach krzyże. Nie wszystkie z tych relacji zasługują na wiarę, niemniej jednak należy stwierdzić, że bracia polscy dość nietolerancyjnie odnosili się do przedmiotów kultu katolickiego.

W styczniu r. 1638 siedmiu uczniów Akademii Rakowskiej wyszło podczas rekreacji na przechadzkę pod opieką dwóch nauczycieli, Salomona Paludiusa i predykanta Andrzeja.

Według relacji ariańskich (Samuela Przypkowskiego) zaczęli oni lekkomyślnie rzucać kamieniami i trafili w krzyż, wystawiony przez księdza Rokickiego. Strwożeni zniszczeniem, zakopali krucyfiks w ziemi i zaprzysięższy tajemnicę, wrócili do miasta. Natomiast według źródeł katolickich uczynili to umyślnie: najpierw rzucali kamieniami czy też strzelali z luków, następnie, obaliwszy krucyfiks na ziemię, poczęli go lżyć, deptać, bić kijami, w końcu zaś cały zniszczyli. Mieli przy tym krzyczeć: „Jeśliś prawdziwy Bóg, usuwaj nóg”. Przekazy obu stron są więc zgodne co do tego, że studenci rakowscy zniszczyli z rozmysłem (czy też przypadkiem) graniczny krucyfiks. Jako głównych winowajców wymieniano dwóch spośród obecnych, mianowicie znanych z zuchwalstwa Babińskiego i Falibowskiego, których zachowanie było już nieraz w szkole karcone.

Jakub Sienieński, zdając sobie sprawę z powagi sytuacji, wysłał do biskupa delegatów, mających załagodzić całe zajście. Równocześnie relegowano z Akademii Rakowskiej Babińskiego i Falibowskiego, którzy ponadto zostali ukarani przez rodziców. Zadzik jednak, czekający zapewne od dawna na podobną okazję, nie był wcale skłonny do kompromisów. Wszczął on prywatne śledztwo na miejscu oraz wysłał do sejmiku proszowskiego i opatowskiego listy wzywające do ukarania śmiercią ariańskich bluźnierców.

Na poufnej naradzie senatorów, zasiadających w trybunale królewskim, postanowiono Sienieńskiego ukarać, a miejsce zbrodni „oczyścić” z arianizmu (miano tu na myśli likwidację szkoły i drukarni), specjalnym zaś dekretem zapobiec na przyszłość

podobnym wydarzeniu. 19 kwietnia 1638 r. wyrok zapadł na posiedzeniu senatu, na którym obecny był Sienieński, co, jak świadczy Radziwiłł, niepomrotnie zdziwiło senatorów. W dokumencie wydanym przez małą kancelarię królewską nakazano Sienieńskiemu w terminie sześciu tygodni dostawić obu nauczycieli (Paludiusa i Andrzeja), którzy do tej pory nie pojawili się przed sądem. Gdyby tego nie dopełnił, grożono właścicielowi Rakowa karą infamii, ministrom zaś wieczystą banicją. Jest rzeczą nader charakterystyczną, iż nazwisko drugiego z nich pozostało do końca śledztwa nieznanie, co świadczy dobrze o solidarności arian, dla których nie mogło ono stanowić tajemnicy. Bracia polscy twierdzili później, iż Sienieński szukał rzekomo obu winowajców za granicą („na co z Węgier atestacje ma”), ale ich nie znalazł. Co ważniejsze jednak, wyrok nakazywał wyraźnie, aby w ciągu czterech tygodni od daty jego wydania zlikwidowano szkołę rakowską, która stała się główną przyczyną „zbrodni”. Podobnie też i drukarnia, która przez wiele lat wydawała książki wrogie katolicyzmowi, uległa konfiskacie. Wykładowców Akademii skazano na banicję; odbudowy szkoły i typografii zabroniono pod karą 10 000 złotych polskich. Okoliczności wydania tak surowego wyroku nie są nam niestety znane. Nie wiemy więc, jak potoczyła się dyskusja w senacie, kto przemawiał za ostateczną likwidacją arianizmu w Rakowie, jacy imiennie sędziowie zasiadali w trybunale królewskim, który powziął ostateczną decyzję w tej sprawie. Być może uczestniczył w nim m.in. Jakub Zadzik; wiemy na pewno, że 31 marca był on na sejmie, gdzie prezentował posłom szczątki sprofanowanego krucyfiks.

Fakt, iż niektórzy biskupi czuli się bardziej karmazynami niż duchownymi, nie zawsze zresztą wychodził różnowiercom na złe. Doświadczył tego sam Jerzy Niemirycz, jeden z najbogatszych magnatów ukraińskich, a zarazem gorliwy arianin. W 1641 r. w Żytomierzu, kiedy dopełniał przysięgi na sesji sądowej, zapytany, czy gotów jest złożyć ją na Trójcę Świętą, miał rzekomo odpowiedzieć, iż może przysięgać nie tylko na trójkę, ale i na czwórkę. Tego tylko było przeciwnikom trzeba: wojewoda kijowski, Janusz Tyszkiewicz, zaskarżył Niemirycza do trybunału lubelskiego, a żeby go jeszcze bardziej pogrążyć, dołączył jakiś jego skrypt „bluźnierstwa strasliwego przeciwko Panu Bogu pełny”. Wyliczył też krzywdy, jakich ten „obmierzył” arianin miał się wobec kleru katolickiego dopuścić. Sprawa groziła Niemiryczowi co najmniej banicją i konfiskatą dóbr.

Na procesie jednak, który odbył się w 1645 r. w Lublinie, wziął go w obronę biskup kijowski, Aleksander Sokołowski. Stwierdził on mianowicie, iż zarzuty bluźnierstwa są wysane z palca, a wszystkie pretensje kleru Niemirycz zaspokoił. Tyszkiewicz wpadł w furję i zarzucił Sokołowskiemu, iż dał się nakłonić do fałszywych zeznań możliwym krewnym podkomorzego kijowskiego, Leszczyńskim. Niewiele to pomogło i trybunał Niemirycza uwolnił. Zapewne był to wypadek nietypowy, ale na szczeblach społecznych jeszcze się ze sobą dogadywano. Tak na przykład na sejmie r. 1646 biskup chełmiński Andrzej Leszczyński oświadczył, że choć *propter conscientiam* (z powodu sumienia) nic

nie może dysydemtom pomóc, to *propter bonum pacis* (dla pokoju publicznego) gotów jest dla nich wszystko uczynić. Biskupa Pawła Piaseckiego nuncjusz Visconti obwiniał zaś o zbytnią pobłażliwość wobec heretyków.

Nie tylko powiązania rodzinne łądziły ciosy kontrreformacji; ostrze jej represji stępiła – do czasu zresztą – solidarność warstwy szlacheckiej, świadomość, że od ataku na swobody wyznaniowe dysydemtów niedaleka jest droga do pogwałcenia przywilejów całego stanu. Odwoływała się do tego nieustannie propaganda różnowiercza. Celowali w niej zwłaszcza arianie, którzy każde pogwałcenie własnych praw utożsamiali ze zgubą wolności szlacheckich. Tak jak w XVI w. torowały one drogę sukcesom reformacji, tak w następnym stuleciu miały uratować resztki jej zwolenników. W 1638 r. Samuel Przypkowski, atakując wyrok w sprawie Rakowa, twierdził, iż skoro królowi pozwoli się sądzić bez prawa, to z czasem zacznie on karać bez sądu, ustanawiając samowolnie na zgubę szlachty prawa. W ataku na jednego z głównych winowajców zagłady Rakowa, Jerzego Ossolińskiego, zrzęcznie znów dowodzone, że jest on wrogiem całego stanu szlacheckiego, którego przywileje w tym procesie naruszono.

Domniemani sprawcy uszli więc z życiem. W przeszło sto lat później nic się nie stało Henrykowi Niemiryczowi. W r. 1785 dopuścił się on publicznego sprofanowania hostii. Niemirycz przebywał wówczas na Wołyniu w należącem do Lubomirskich Krupcu. Przy śniadaniu miał on zaproponować dzielającemu jego poglądy towarzystwu, aby – choć bez spowiedzi i nie będąc na czczo – przystąpili do komunii w tamtejszym kościele parafialnym. Co też uczyniono, Niemirycz wszakże oplatka nie przełknął, lecz wypluł do trzymanej w ręku książki. Wróciwszy na miejsce, zaczął komunikant „z przechwałką okazywać damom siedzącym w ławkach, z rozmaitemi najniepoczciwszemi żartami i szyderstwami”. Nie mogło to przejść niezauważenie, zwłaszcza że młody liberyn już przedtem zwracał na siebie powszechną uwagę. „Kobiety się obruszyły i przelekły, gruchnęła wieść po kościele, wszczął się szmer, oburzenie, zgroza powszechna”.

Niemirycz pośpiesznie opuścił kościół, gdzie mu groziło rozsiekanie przez oburzoną szlachtę. Dotarł powozem do dworu w Krupcach, skąd natychmiast udał się do położonych już w zaborze austriackim Brodów. Inaczej nie mógł postąpić, zważywszy na niestrudzoną działalność Jerzego Falkowskiego. Według niektórych przekazów miał on być podobno naocznym świadkiem całego zajścia i pierwszy zaczął krzyżeć, iż dopuszczono się świętokradztwa. Falkowski łączył w sobie temperament polityka z istic pieśniackim usposobieniem. Każde odchylenie od kanonu dawnej, saskiej jeszcze pobożności, najmniejszy przejaw tolerancji dla dysydemtów, liberynizmu czy masonerii – wszystko to stanowiło dla Falkowskiego znakomitą okazję do zasypywania grodu manifestami, pozwami i kondemnatami. Jeden z nich dotyczył założenia w Dubnie loży masonskiej. Jako prowincjonalna stała ona dość wysoko w strukturze wolnomularskiej organizacji. Falkowski zwywał wszystkich nieznanym sobie z nazwiska „farmazonów”

do stawienia się w sądzie łuckim. Zarzucał im, że oddają cześć Belzebubowi i profanują świętości chrześcijańskie. Kiedy po trzykrotnym wezwaniu nikt się oczywiście nie stawił, niestrudzony skarbnik łucki pozwał ich „na sąd ostateczny, gdzie w obliczu Boga ma się z nimi rozprawić”.

Z duchownego sprawa przeszła do sądu świeckiego, gdzie jednak starosta łucki, Józef Klemens Czartoryski, nie śpieszył się zbytnio z jej rozpatrzeniem. Zarzucano mu zresztą, że zajęty wielką polityką i modernizacją gospodarczą swych dóbr rzadko zagląda do Łucka. Staranne wychowanie domowe, jakie odebrał, a jeszcze bardziej dłuższe podróże zagraniczne, podczas których odwiedził Luneville, Drezno i Berlin, hamowały go zapewne przed podejmowaniem zbyt pospiesznych decyzji w tej delikatnej sprawie. Tym bardziej iż właśnie w osiemdziesiątych latach XVIII wieku ściągał na Wołyń lutekańskich kolonistów niemieckich, których nie chciał sobie zrażać przez surowe wyroki w kwestiach wyznaniowych. Społeczeństwo szlacheckie, skądinąd otaczające Czartoryskiego dużym szacunkiem, miało mu jednak za złe uleganie cudzoziemszczyźnie, co wyrażało się także w stroju i języku. Kawaler dworskich orderów św. Stanisława, a potem i Orła Białego (1767), bał się zapewne opinii fanatyka, jaką bezwzględna rozprawa z Niemiryczem mogła mu w Warszawie wyrobić.

W dwóch kolejnych listach, z 1 i 7 stycznia 1786 r., Falkowski wyrzucał Czartoryskiemu naganną bezczynność, wyłączenie się w sądach szlachtą spoza Wołynia. Skarbnik łucki domagał się od księcia, aby ten, nie czekając na zwykły termin obrad sądowych, natychmiast i osobiście przystąpił do rozpatrzenia sprawy Niemirycza. Obowiązkiem starosty jest bowiem, „rzuciwszy wszystkie na bok zatrudnienia, Bogu i ludowi chrześcijańskiemu okazać czułości i powinności przykład”. 13 stycznia niestrudzony Falkowski wniósł do grodu łuckiego kolejny manifest, w którym zgłaszał gotowość poświęcenia życia i majątku dla ścigania Niemirycza. Zapewniał też, że nie kieruje nim wzgląd na korzyści materialne; rezygnuje bowiem z góry z należnej ustawowo delatorowi części dóbr pozwanego. Niemiryczowi posłano trzy kolejne pozwy. Jego ucieczkę za granicę oraz nieprzysłanie plenipotenty uznano za przyznanie się do winy. Do ojczyzny powrócił dopiero ok. r. 1792. Po przegranej wojnie polsko-rosyjskiej przy pomocy przyjaciół zasiadających we władzach konfederacji targowickiej uzyskał (12 VI 1793 r.) kasatę dekretu, jaki sąd łucki wydał zaocznie w jego sprawie.

Na tle ogólnej tolerancji i przy braku krwawych prześladowań za wiarę tym silniej i głośniej wybijały się pojedyncze przypadki. Gdy w innych krajach Europy ofiary tych represji liczone na setki czy nawet tysiące, w Polsce można mówić jedynie o jednostkach. Znana księga Crespina, zestawiająca skrupulatnie wszelkie informacje o prześladowaniach zwolenników reformacji, jakie miały miejsce do połowy XVI stulecia, nie podaje żadnych nazwisk z terenu Korony czy Wielkiego Księstwa Litewskiego. Dopiero w jej niemieckiej wersji z r. 1628 pojawia się postać Franco de Franco. Jeśli ukaże się

pitaval polskiej reformacji, który mam zamiar w przyszłości opracować, będzie to cienka książeczka mówiąca o kilkunastu zaledwie procesach.

Tymczasem martyrologia protestancka, jaka miała miejsce w krajach zachodniej Europy, została ujęta w wielu kompendiach, słownikach czy monografiach, żeby wymienić dla Niderlandów E. Van Haeghena i innych, *Bibliographie des martyrologes protestantes néderlandais* (La Haye 1890), obszerną rozprawę J. Meyhoffera, *La martyrologie protestant des Pays-Bas 1523-97* (Nessonvaux 1907), oraz liczne wydawnictwa menonitów, którzy jednak wśród swych męczenników nie mogą się dotąd doszukać choćby jednego z terenu szlacheckiej Rzeczypospolitej. Zdziwienie tym faktem dał już wyraz Pierre Bayele, pisząc o straconym w r. 1611 w Warszawie Tyszkowicu: „Nie warto mówić o jednostkach. Było ich zbyt mało, by mogli przysporzyć honor sekcje”, a dodajmy, że i całemu ruchowi reformacyjnemu. Po latach jednak badacza interesują również przypadki jednostkowe, w których, niczym w soczewce, odbijają się pewne sprawy istotne i ogólne.

Notabene, protestanci angażowali się w obronie jednej tylko Łęzęckiej, los pozostałych ofiar judofobii wydawał się ich raczej niewiele obchodzić. Jeśli posłowie dysydency kwestionowali prawomocność wyroków na Franka i Iwana, to nikt tego nie czynił w stosunku do Żydów, spalonych za rzekome mordy rytualne czy udział w profanowaniu hostii. Sceptyczne stanowisko różnowierców wobec skazania Łęzęckiej wynikało z faktu, iż nie mogli uznać za przestępstwo domniemanej kradzieży i nakłuwania opłatka, w którym – ich zdaniem – nie było prawdziwego ciała i krwi Chrystusa.

Unpunished blasphemers

In 16-18th century Poland there were few trials of blasphemy, including interferences into Church services or processions. The severe verdicts, capital punishment included, were rarely executed. The most frequently punished for an outrage against Catholic religious feelings were plebeians. No special attention was paid to the possible offences committed by noblemen and magnates. Thus, nothing happened to Erazm Otwinowski who in 1564 trampled on a monstrance torn out from a priest leading a procession. A Calvinist Marcin Kreza who also committed such an offence in 1580 went unpublished too. At the end of century Stefan Łowejko, who publicly manifested his atheism, was not even imprisoned. Although in 1785 a young magnate Henryk Niemirycz, who publicly profaned a host, was sentenced to death. He survived because he left the country. As it shows a coat of arms usually was a good protection against the administration of justice, even in denominational matters.

Key words: blasphemers, punishment, history of Poland